

Wyznania Anny Gritzner

Alicja Kusiak-Brownstein

W 1648–1650 Anna Gritzner ufundowała w katedrze św. Jakuba i Agnieszki w Nysie kaplicę dedykowaną ofiarom wojen i plag. Obecnie w tej kaplicy znajduje się baptysterium.

Nazywam się Anna Gritzner.
Jestem stróżką umierających.

Spotykałam ich, odkąd się urodziłam.
Przez całe życie słyszałam modlitwy o dobrą śmierć.
Śmierć we własnym łóżku.
Przy własnym piecu.
Pod własną pierzyną.
Wśród własnych dzieci.
Z łyżką rosółu z własnej kury przy ustach.

Całe życie chowałam zmarłych, chowając się przed nimi.
Broniłam się, gdy garnęli się do mnie.
Przywierali do moich rąk,
stóp,
piersi,
brzucha,
ramion,
ud,
łona,
karku,
skroni,
ust.

Którzy pomarli od wojny,
od zarazy,
od strachu umierania
i od rozpaczcy życia.

Wszyscy znaleźli schronienie w mateczniku szarego torfu,
który noszę w kruchym naczyniu pod rańtuchem.

Wiele razy próbowałam ich przegonić.
Lecz to wierni moi krewni.
Nieukojeni.

×

Johann, mój pólbrat, z którego wojna zrobiła półczłowieka.

Kiedy po sześciu latach wrócił do domu w butach z brunatnymi cholewami i z zardzewiałym rapierem, nie powiedział ani słowa. Wył tylko przeraźliwie, gdy się upił. W atakach złości rąbał siekierą na oślep wszystko, co weszło pod rękę. Drzwi, psa, człowieka, kamień... Ludzie mówili, że wilkołak. Chcieli zadźgać widłami. Rozpuściłam plotkę, że wilkołaka zabić się nie da, a jeśli by go zranić, to sprowadzi innych i zagryzą wszystkich w domostwie. Odtąd już tylko pluli za nim, ale schodzili mu z drogi i nigdy nie patrzyli w oczy.

Oczy Johanna, jak dwie puste studnie.

×

Pewnej nocy, gdy Johann znowu uciekł z domu, zabrałam jego rapier. Stał w kącie zarosłej pajęczyną komory jak pijany albo martwy dragon. Położyłam go na łóżku i pościagałam włosy z zardzewiałego ostrza. Krótkie i dłuższe. Cienkie i grube. Ciemne i kilka bardzo jasnych. Odkleiłam je delikatnie, umyłam w wodzie ze świeżą miętą i wysuszyłam na lnianej chusteczce. Później ułożyłam na czerwonym aksamicie i zamknęłam w puzderku, na którym ojciec wygrawerował dla mnie żonkile i owoc granatu. Gdy byłam mała, bawiłam się tą szkatulką jak grzechotką, bo ojciec zamknął w niej ziarenka pszenicy. Zwinęłam każdy włos oddzielnie w mały kędziorek i schowałam puzderko w skrzyni, pomiędzy prześcieradła.

Te włosy czasem wołały do mnie w nocy. Kładłam je wtedy pod poduszkę i słuchałam ich głosów, w znanych mi i obcych językach.

×

Magdalena mawiała, że to tylko wiatr we framugach okien pokpiwa ze mnie, bo tylko on potrafi przenosić ludzkie głosy i włosy przez ogromne przestrzenie. Magdalena mawiała, że ona ciągle słyszy głosy, nawet te z rodzinnych stron, nawet te z miejsc, o których dawno zapomniała. Mówiła, że po śmierci człowieka jego głos nadal żyje. Oderwany od ciała, które gnije i przemienia się w torf, głos ludzki tuła się po świecie, tak jak Johann. Czasami wpada do studni, czasami do dzbana z piwem, czasami do szczurzej nory, do pyska wilka, koguta albo kozła. Najczęściej jednak wchodzi przez nos do uszu człowieka i wtedy nie sposób się go pozbyć. Magdalena mówiła, że wystarczy, by poczuła zapach spalenizny, niemytego ciała, krwi albo piżma, a głosy wypełniają jej uszy jak bicie dzwonów z kirchy w niedzielę. Mówiła, że te głosy są jak pajęczyna, którą przędą czarne pająki. Czasami gęstnieją w kokon tak ciasny, że tłumi ruch myśli i oddech w piersiach. Wówczas trzeba je wypłakać albo wykrzyczeć, bo inaczej zaduszą albo zmienią człowieka w bestię.

Magdalena często płakała, ale krzyczała tylko na łąkach nad Nysą.

×

Magdalena mawiała, że nasze nieszczęście wzięło się stąd, iż wykarmiła nas mlekiem z piołunem. Leczyła się nim po połogu, kiedy urodziła Johanna, a jej słabość objawiała się wielkim smutkiem. Z tego smutku nie mogła jeść ani spać, a bez jedzenia i snu nie mogła pracować i wykarmić mnie, córki swojej pani, i własnego dziecka, które jest synem mego ojca. Matka nienawidziła Magdaleny za to, że urodziła chłopca, a mnie za to, że urodziłam się dziewczynką.

Magdalena opowiadała mi, jak przez ten piołun w niemowlęctwie mieliśmy drgawki, a oczy błyszczące jak szmaragdy z naszyjnika, który ojciec zrobił dla Księcia Biskupa. Mawiała, że godzinami wpatrywaliśmy się w jakieś miejsce pod sufitem, jakby tam była kometa albo inna świetlista postać. Albo krzyczeliśmy, a to doprowadzało matkę do furii. Ludzie mówili, że to wszystko przez grzech, bo katolicki złotnik żyje ze swoją protestancką służącą. Matka zawsze mówiła, że Magdalena jest szalona, a Magdalena nigdy nie zaprzeczała. Warzyła swoje nalewki i poila nimi matkę, gdy ta przestała wstać z łóżka. Opiekowała się nią do końca, w milczeniu. Agonia mojej matki

przeszła niezauważona, choć jej pogrzeb był głośny. Magdalena mówiła, że matka umarła jeszcze za życia, że po śmierci wciąż z nami mieszka i że w istocie nic się nie zmieniło.

W istocie, nic się nie zmieniło. Matka nadal z nami była, ale jakby jej nie było.

×

Magdalena była duża, piękna i smutna. Pachniała łąką. Jej oczy miały kolor orzechów laskowych. Jej wielkie dłonie były delikatne w pieśczoście, a czerwone stopy sprężyste jak łapy kota. Przewyższała wzrostem prawie wszystkich znanych mi mężczyzn. Ojciec żartował, że przywiózł ją znad Termodontu.

Gdy raz matka nazwała Magdalенę wiedźmą, ojciec uderzył matkę w twarz i zagroził, że odesła ją do brata, bez wiana. Matka była obrażona, ale nigdy więcej nie słyszałam od niej tego wyzwiska.

×

Gdy miałam czternaście lat, przyszedł do nas ksiądz sekretarz Księcia Biskupa. Było późne sobotnie popołudnie. Ojciec czytał w swojej pracowni, matka pojękiwała w alkierzu, Magdalena stukala garnkami, a Johann i ja grzebaliśmy w kałuży, budując kanały, groble i cysterny. Za księdzem sekretarzem przywłócił się młody żebrak, kaleka. Nie znaleźmy go, nie był miejscowy. Śmierdział moczem i okowitą. Nie miał oka i ręki. Zapytałam go, skąd pochodzi. Wymamrotał coś niewyraźnie, bo nie miał też języka. Ojciec kazał Magdalenie wynieść mu jedzenie pod bramę. Magdalena podeszła do niego z miską mleka, po którą łączywie wyciągnął krótkie, szponiaste palce o długich, czarnych paznokciach. Magdalena przyglądała mu się dłuższą chwilę. Na koniec warknęła coś po czesku i splunęła.

Oboje z Johannem uważnie się w nią wpatrywaliśmy. Magdalena głośno zatrzaskała za sobą drzwi, po czym równie głośno je otworzyła i zawołała nas gniewnie do domu. Bez ociągania pobiegliśmy do kuchni. Magdalena postawiła przed nami miski z kaszą i mlekiem. Sama usiadła przy oknie i zaczęła niespokojnie szarpać rzemyk na piersiach. Jej palce poruszały się coraz szybciej, a wzrok obiegał ramę okna, jakby ją obmacywała, jakby badała grubość szkła i kraty, jakby zrywała się do biegu na oslepek. Nie spuszczaaliśmy z niej wzroku, wiosłując łyżkami w równym tempie. Magdalena wstawiała, podchodziła do okna, wracała do krzesła, siadała, kręciła się po kuchni, jakby czegoś szukała, ale zapomniiała czego, przesuwała zydle, podnosiła i odkładała naczynia. Na koniec włożyła sobie pięść w otwarte usta i zaczęła ją gryźć. Drugą ręką pociągała za rzemyk i kiwała się na zydłu w przód i w tył, z podkulonymi w kolanach nogami.

Johann podszedł do niej cicho. Stał naprzeciw niej i ostrożnie wyjął z jej ust pogryzioną pięść. Otworzył ją delikatnie, palec po palcu. Jej dłoń wyglądała jak rozeta z czerwonymi plamami na cielistych płatkach. Podałam mu jabłko z misy, która stała na stole. Johann włożył do otwartej dłoni Magdaleny jabłko i zacisnął na nim jej palce. Na kolana postawił jej misę i położył na owocach jej lewą dłoń. Magdalena nadal kiwała się i patrzyła w okno niewidzącym wzrokiem, ale zaczęła łączywie pożerać jabłko. A później następne. I następne. Po czwartym zaczęła prostować plecy.

Tymczasem ojciec przysłał po wino, słodczyce i owoce. Johann zaniósł je do świetlicy. Wrócił stamtąd zły jak wilk. Powiedział, że sekretarz oglądał go jak cielę na jarmarku. Zajrzał w oczy, w zęby, targał za uszy, obmacał łydki, klepał po plecach, na koniec rzucił na podłogę jabłko i kazał mu podnieść i przynieść. Powtarzał, że podobieństwu nie sposób zaprzeczyć. Rechotał: *Zdrowy cielak, od pięknej jałówki... Bo ona przecież była jałówką, gdyś ją waćpan kupował, nieprawdaż? Zaczną, czerwoną jałówką, szeroką w zadzie i z dużymi wymionami... Wykarmiła przecie nie tylko tego byczka, ale i twoją prawowitą. A więc tego tu także mogła wykarmić. Jeśli więc ten jest twój, to tamten też być może. I będzie, pierworodny!* Sekretarz roześmiał się głośno, ale ojciec milczał. Obracał tylko w palcach trzy orzechy włoskie, a w końcu rozłupał je nasadą dłoni o mahoniowy blat stołu, po czym zatopił wzrok

we wnętrzu skorupki w takim skupieniu, że nawet jego gość zrozumiał, iż czas już kończyć sprawę.

Gdy nazajutrz w niedzielę zapukał do nas miejski skryba, protestant i przyjaciel ojca, który spisywał mieszkańców według wyznania, ojciec zwołał Magdalenę, Johanna i mnie. Matka leżała w swojej komorze. Na pytanie skryby, ilu katolików mieszka w tym domostwie, ojciec wskazał siebie, mnie i matkę, a po chwili, ku naszemu zdumieniu, Magdalenę, Johanna i Antoniego, jak go nazwał, swego starszego syna z Magdaleny, który śpi właśnie w chlewiku. Gdy skryba spojrzął na ojca zdziwiony, ten odpowiedział mu, że ukrywał tego syna ze wstydu przed ludźmi, ale ulitował się nad nim i przygarnął go w końcu, a Magdalena potwierdzi, jeśli trzeba, że to ich pierworodny. Magdalena patrzyła na ojca i wargi jej drżały. Johann wybiegł z kuchni, trzaskając drzwiami. Skryba zapytał, czy ojciec jest pewny. Ojciec powiedział, że jest tego pewny tak, jak świętych obcowania. Po czerwonej twarzy Magdaleny popłynęły łzy.

Tymi trzema imionami mój ojciec ocalił katolicką Nysę, a po tygodniu wyrzucił Antoniego z chlewika, dał mu kilka srebrnych monet i zakazał pokazywać się w mieście pod groźbą, że go zarżnie jak prosię, upiecze na wolnym ogniu i nakarmi nim biskupie psy.

×

Kiedy skończyłam piętnaście lat, ojciec powiedział mi, że kiedyś powierzył mnie Magdalenie, a teraz Magdalenę powierza mnie. Powiedział mi wtedy, że znalazł ją nieopodal Jesenika, w drodze z Ołomuńca. Leżała naga na brzegu rzeki. Narażając życie, ojciec przywiózł ją do Nysy, bo – jak uznał – czasem najbezpieczniej jest w gościnie u kata.

Zanim wprowadził ją do domu, ojciec oddał Magdalenę na kilka miesięcy pod opiekę naszego dzierżawcy, który mieszkał nad rzeką. Za jego pomoc i milczenie ojciec darował mu roczny czynsz. Księżciu Biskupowi zaś darował brylantową monstrancję z rubinowym księżycem w nowiu i tym kupił jego łaskawą obojętność. Ojciec powiedział, że każdy ma pakt ze swoim diabłem, a Księżę Biskup ukrywa cyrograf w chronometrze.

Wiele lat później, gdy zaczęto tu polować na kobiety, ojciec kupił łaskę nowego Księcia Biskupa relikwiarzem świętego Jana Chrzciciela. Przyjaciel ojca, Caspar Pfister, sygnował go jako swoje dzieło, ojciec bowiem nie chciał, by rozprawiano na temat autora. Ojciec zaśmiał się, że glejt dla Magdaleny opieczętował głową proroka.

Nagle spoważniał, spochmurniał i rzekł: *Zapamiętaj Anno, sine amore nihil vita est.*

×

Zakradałam się czasem do jego pracowni, kiedy pracował nad relikwiarzem. Przyglądałam się twarzy świętego Jana z rozkoszą, że taka piękna, i z trwogą, że taka znajoma. Ojciec śmiał się z mojego pomieszania i powiedział mi, że stracił głowę dla Magdaleny dawno temu, kiedy po raz pierwszy ją zobaczył.

Przyjechał do Otmuchowa z klejnotami dla Księcia Biskupa, ale ten właśnie polował. Ojciec zszedł więc z zamku do kościoła, żeby zaszyć się w konfesjonale i poczytać w spokoju, bo taki miał zwyczaj, że nigdy nie rozstawał się z ksiązką. Bywało, że w tych konfesjonalach wysłuchiwał spowiedzi i dawał rozgrzeszenia. Nie miał co prawda stuy do ucałowania, ale podawał wówczas dłoń z pierścieniem ze świętym Krzysztofem, swoim patronem. Mawiał, że wysłuchał tyłu spowiedzi duchownych poza konfesjonalem, iż czuje się w prawach spowiednika, a że Bóg wszystko słyszy, więc on jedynie pośredniczy w ulżeniu cierpień dusz bliźnich swoich. Tym razem ojciec jednak nie przyjął spowiedzi, ale spotkał swoje przeznaczenie.

Gdy wchodził do świątyni, nagle zaległa cisza, jakiej nie słyszał nigdy wcześniej ani później. Było tak, jakby wszystkie ptaki i zwierzęta umarły. W jednej sekundzie poczuł nagły lęk i dostrzegł Magdalenę. Siedziała w stallach, z małym synkiem na ręku, rudowłosa w ceglastej koszuli, spowita

w zielony, lamowany złotem szal. Spojrzała na ojca nieśmiało, lecz przenikliwie, z dziwnym smutkiem i czułością. Ojcu zdało się, że to aparycja Matki Boskiej z obrazu mistrza lombardzkiego, który widział w kościele w Jeseniku, więc podniósł rękę do czoła, żeby się przeżegnać, ale zamiast tego złożył ukłon tej żywej Madonnie.

W tej samej chwili rozległ się przeciągły dźwięk, niczym ryk bestii piekielnej, niczym spadające sklepienie niebieskie, i podziemna fala uniosła w górę budynek kościoła. Ojciec spostrzegł, jak ambona w kształcie korabia wznosi się i opada. Jak krucyfiksy i rzeźby odpadają od ścian, sztukaterie pękają, a płyty posadzki się rozstępują. Wszystkie szybki w witrażach kościołów, wszystkie okna w mieście i na zamku, wszystkie dzwony wespół z tłuczonymi szklanicami i cynowymi garnkami rozbrzmiały jednocześnie chórem tysięcznych głosów. Przerażeni ludzie i zwierzęta rzucili się w panice do ucieczki.

Ojciec zachwiał się mocno, ale nie upadł, przytrzymując się aspersorium, jak rozbitek dryfującej kłody. Spostrzegł, jak fala rzuca Magdalenę pomiędzy lawy. Usłyszał płacz dziecka. Gdy ziemia przestała się trząść, ojciec pobiegł do niej, podniósł ją i wyniósł z kościoła.

Gdy stali na rynku, z dala od budynków, wciąż oszołomieni, Magdalena tuliła do siebie niemowlę, a ojciec – Magdalenę. W owej chwili zrozumiał, że należy do tej kobiety, a ona do niego. Tam też ojciec dowiedział się, że Magdalena mieszka w małej kamienicy nieopodal drogi do zamku, ale że nie może jej odprowadzić, ani złożyć jej wizyty. Gdy dostrzegła jego zawód, poprosiła po czesku, żeby zapomniał, że ją kiedykolwiek spotkał, i zbiegła w dół ulicy, nie oglądając się za siebie. Gdy ojciec patrzył w ślad za nią, do jego nogi przyczepił się oszalający ze strachu żebrak. Z pianą na ustach krzyczał po niemiecku, że to Nierządnicza Babilońska wyważy bramy piekła, że właśnie zrodziła Antychrysta i że wszyscy zginą, bo zaprzędali dusze fałszywym prorokom. Ojciec rzucił mu srebrny pieniądz, poprosił o modlitwę i wrócił na zamek.

×

Ojciec powiedział mi, że Magdalena straciła tamtego syna, a on dał jej drugiego, mojego półbrata Johanna. Ojciec powiedział mi także, że Magdalena nosiła wówczas inne imię, ale że już go nie pamięta.

×

Magdalena dużo pracowała i mało mówiła. Lubiała piwo i swoje nalewki, a czasem lubiła się śmiać. Jej spojrzenie było kojące, miękkie, lepkie jak miód, ale zawsze na wpół obecne. Gdy wpadała w szal, potrafiła rozerwać palcami żywą kurę albo królika, ale to zdarzało się bardzo rzadko. Czasami, gdy zapadała w głęboki smutek, wyciągała z dna swego ogromnego dekoltu medalion, który zrobił dla niej ojciec. Skręcała wtedy wokół przegubu ręki poczerniały od potu rzemień nabity srebrnymi blaszkami i przeciągała nim tak gwałtownie i mocno, że raniła się do krwi. Polewała później rany ziołowymi kordiałami i owijała je płóciennymi bandażami, spokojna.

Medalion Magdaleny był niepozorny. Miał kształt podłużnego jaja. Na zewnątrz ojciec wyłożył go polerowanym obsydianem i wyrzył na nim krzyż z niepozornym kwiatem róży na skrzyżowaniu ramion. Zamknięcie medalionu było niewidoczne. Tylko ojciec i Magdalena wiedzieli, jak go otworzyć. Czasami, gdy byliśmy z Johannem grzeczni, a Magdalena wesola, otwierała go dla nas. We wnętrzu medalionu była grota z ametystu, a pośrodku niej leżało szmaragdowe ziarenko. Pod nim i nad nim leżały dwie perelki. Pewnego razu, przyglądając się temu cudeńku, dostrzegłam, że szmaragd kończy linię biegnącą po wewnętrznej osi medalionu, a obie perły wieńczą dwie wijące się wokół siebie serpentyny. Ojciec oszlifował ametystu osi i obu serpentyn w taki sposób, że tylko patrząc pod kątem, można było zobaczyć wewnętrzny rysunek. Zapamiętałam ten rysunek i wyhaftowałam go później żółtą jedwabną nitką pośrodku szafranowego obrusa do mojej kaplicy.

Tylko Johann i ja znaliśmy drogę do ametystowej groty, bo znaliśmy ciało Magdaleny jak nasz własny ogród.

×

Gdy zaczęto tu polować na kobiety, Magdalena uciekła z miasta. Ojciec długo jej szukał, a w końcu przywiózł nieprzytomną, pijaną, związaną w pałąk i przykrytą sianem. Gdy doszła do siebie, krzyczała po czesku o celi, w której skazańcy ogryzali kamienie ze ścian, i o żerdziach w przepaści pod podłogą. Przeklinała pacholków Antychrysta, którzy nadziali jej dziecko na rożen, upiekli i zjedli. Ojciec zawołał żonę dzierżawcy znad Nysy i nakazał jej pilnować, by Magdalena nie ruszała się z pokoju.

Po jakimś czasie Magdalena uspokoiła się, ale wychodząc z domu, zaczęła nacierać sobie twarz popiołem ze spalonych ziół. Ludzie, którzy nigdy nie szukali z nią rozmowy, teraz zaczęli schodzić jej z drogi, myśląc, że zupełnie oszalała.

Wkrótce po tym ojciec zmarł nagłą śmiercią we Wrocławiu i tam go pochowaliśmy. Magdalena przestała wówczas mówić po czesku i mówiła już tylko po niemiecku. I tylko do mnie i do Johanna. A ja mówiłam za nią do świata.

×

Johann towarzyszył nam w obie strony, ale nie wszedł do kościoła. Dziad nie nalegał, bo Johann był protestantem, bękartem, osiłkiem o prostym sercu i umyśle. Był także jego wnukiem, z rodowodem wypisanym na twarzy.

Miałam siedemnaście lat, gdy ojciec mego ojca zabrał nas na odpust do kościoła Podwyższenia Krzyża Świętego. Dziad był już wówczas bardzo stary. W drodze do Opola opowiedział nam, jak to dawny biskup Wrocławia podarował kościołowi tę świętość, którą dostał od Emeryka, czystego młodzianka węgierskiego, sto albo i pięćset lat temu. Dziad opowiadał, jak ludzie padają na twarz i tarzają się w prochu, gdy księża podnoszą w górę relikwiarz z Drzewem Krzyża Świętego. Jak z niektórych wychodzą wtedy najpiękniejsze pieśni i najgorętsze łzy, z innych wychodzą diabły, a jeszcze z innych to, co zjedli lub wypili przed sumą.

×

W drodze powrotnej dziadek chwalił dzieło naszych śląskich architektów, murarzy i rzemieślników, którzy w dwa lata odbudowali spaloną opolską katedrę. Gdy zatrzymaliśmy się nad strumieniem, dziad zanurzył w zimnej wodzie spuchnięte stopy. Johann położył się w wysokich trawach i rozplynął w ciepłe zachodzące słońca. Zdawało mi się, że dziadek także zasnął, lecz on zapatrzył się w milczeniu na północny horyzont. W tej zadumie zaczął opowiadać, jak w jego młodości pożar strawił Nysę.

Gdy płonął dach u św. Jakuba, zdawało mi się, że to koniec świata, że ziemia się rozstępuje i z kościoła wychodzą bestie piekielne. Powietrze parzyło płuca, a swąd spalenizny dusił oddech. Z oczu płynęły łzy, które natychmiast wysychały, a sól i dym drażniły powieki i odbierały wzrok. Miasto topiło się w morzu ognia.

Po pożarze pomagałem zbierać spalonych i uduszonych. Zbieraliśmy półnagie, nagie, popalone trupy, wrzucaliśmy je na drabiniasty wóz i wywoziliśmy na cmentarz za miastem, gdzie teraz stoi kaplica św. Rocha. Tam grabarze wrzucali je do wspólnej mogiły, a zakonnicy, śpiewając Dies Irae, zakrapiali dół święconą wodą. Oszalałe matki i na wpół dzikie dzieci biegły za wozem i wyrwały kawałki zwłok i ubrań, a nawet próbowały rzucać się do grobu, szukając swoich bliskich. Chłopi Księcia Biskupa, przypisani do pracy grabarzy, płakali i odmawiali odganiań tych szaleńców i gapiów. Ktoś doniósł urzędnikom biskupim o bezceństwach na cmentarzu, a ci kazali dać chłopom beczkę wódki i wyrzucić żałobników. Gdy pijani chłopcy zaczęli rozganiać tłum, zakonnicy wrócili do swoich klasztorów. Pod koniec dnia chłopcy byli już tak pijani, że pozasypiali w grobie i pobudzili się dopiero wtedy, gdy pacholkiwie miejscy zrzucili na nich poranną porcję zwłok. Z czasem wyrosły na tym grobie krzaki jałowca, a miejscowe baby zbierały z niego jagody dla siebie i na sprzedaż okolicznym zakonnicom na kordiały i karmelki na trawienie.

Często śni mi się, że płonę w pożarze, ale nie mogę spłonąć. Przez lata nie zdołałem pozbyć się z nozdrzy swędu palonego ludzkiego ciała. Jest bardziej przenikliwy niż słodkawy zapach ludzkiej krwi, który wytacza ślinę w ustach. Jest też inny niż duszący smród gnijącego ciała, od którego bolą wszystkie zęby. Po pożarze pomagałem chować zmarłych, bo myślałem, że ten akt miłosierdzia zatrze w mojej pamięci obrazy piekła. Ale nie doznałem tej łaski, nawet gdy przez dziesiątki lat służyłem w Bractwie Dobrej Śmierci.

I wiesz, dziecko, nigdy w życiu nie widziałem niczego piękniejszego niż płonące miasto.

×

Półmatka i półbrat zawsze mnie chronili. Tylko oni wiedzieli, na co cierpi moja dusza. Kiedy więc powiedziałam im, że idziemy nad rzekę, nie pytali po co.

×

Wyszliśmy po południu, gdy umęczone skwarem miasto zapadało w letarg. Johann zabrał nasze trzy łowcze psy, swój spadek po ojcu. Ojciec dostał je od Księcia Biskupa jako spłatę długu za klejnoty. Ferdinand, Jindrich i Axel, jak je nazwał Książę Biskup, za złote kolczyki, naszyjnik i bransoletę. Gdy je ojcu dawał, Książę Biskup śmiał się, że robi zły interes, bo oddaje trzy wierne psy za jedną niewierną sukę.

Psy zwykle wylegiwały się na dziedzińcu domu, bo ojciec nie miał prawa polować. Gdy robiły się niespokojne, ojciec kazał zabierać je na łągi nad Nysą, do chaty naszego dzierżawcy. Psy nosiły na szyjach srebrne obroże z herbami biskupów wrocławskich, a przez to były nietykalne. Dzielily z nami swój przywilej. Te obroże zdejmowałam im tylko wtedy, gdy najemnicy byli w mieście, ale wówczas ujadaly i wyly tak przeraźliwie, że nawet oni obawiali się zbliżać do domu naszego. Johann wył i ujadał wraz z nimi.

×

Założyłam szare jedwabne spódnice i kaftan z szafranowego płótna. Do skórzanej torby wrzuciłam woreczek ziół i krzesiwo z hubką. Szliśmy ścieżką wśród sadów i ogrodów. Po drodze Johann zrywał kosztele i pakował je do kieszeni pludrów. Zawiesiste powietrze było drżące i lepkie od letnich dźwięków i zapachów.

Gdy doszliśmy nad rzekę, zgliszcza chałupy rybaka nadal śmierdziały spalenizną, choć minął prawie rok. Magdalena i Johann usiedli w trawach pod lipą i jedli chleb z piwem. Magdalena uwiła sobie wianek z kaczeńców i założyła na rańtuch. Twarz miała czarną od popiołu.

Weszłam do osmalonych ruin. Dotknęłam kawałka ramy okiennej, co została w ścianie, i obręczy na wpół wypalanej beczki. W pękniętej polepie znalazłam ziele mniszka, a w kącie kilka źdźbeł pszenicy. Zerwałam kłosa i wrzuciłam je do kieszeni kaftana. Gdy schyliłam się, żeby wyrwać mniszek, zobaczyłam ząb. Podniosłam go do słońca. Był niewielki, czysty i biały, i nie należał do żadnego zwierzęcia, jakie znałam. Otworzyłam mój medalion – relikwiarz z kością świętej Jadwigi. Ojciec wyrył na nim znaki, których znaczenia nie znałam. Powiedział, że relikwiarz strzeże mnie lepiej niż relikwia, i zakazał pokazywać medalion obcym. Otworzyłam go, wyciągnęłam kość i włożyłam ząb.

Otworzyłam drzwiczki do pieca. Wyciągnęłam z woreczka ziele piołunu i szałwii i razem z kością wrzuciłam do paleniska. Zmierzchało. Johann przyniósł chrust z czeremchy i podłożył w piecu. Skrzesał ognia i wyszedł. Ziola i chrust zajęły się od razu. Patrzyłam przez chwilę, jak płoną, i wdychałam ich woń. Wyjęłam z kieszeni spódnicy wilgotną szmatkę, którą Magdalena dała mi przed wyjściem. Była w niej papka z ciasta i ziół. Włożyłam ją do ust, razem z ziarnami pszenicy. Przelknęłam i położyłam się obok pieca.

×

Czułam, jak uśmiech wypływa mi na twarz. Zdawało mi się, że zachodzące słońce otwiera się przede mną jak tunel z ametystów, szafirów i blaszek złota. Poczułam, że kolory, zapachy i dźwięki są tak wyraźne i obecne, iż mogę ich dotknąć. Chciało mi się krzyczeć i płakać. Czułam, że już kiedyś tu byłam, że kiedyś już to przeżyłam. Czułam, jak pod moim ciałem zapada się przestrzeń i czas. Czułam, że moja myśl tnie przestrzeń jak błyskawica, że nic i nikt nie jest w stanie jej okiełznać. Czułam, że posiadałam radość i spokój. Czułam, że wiem i rozumiem, choć nie potrafiłam nazwać tego, co właśnie poznałam i zrozumiałam. Poczułam wielką lekkość. Czułam, jak moje mięśnie rozprężają się, a kości rosną w górę i w dół, jak moje żyły rozlewają się w tysiące rubinowych strumieni. Wiedziałam, że jestem potężniejszym drzewem z tego i nie z tego świata. Czułam, że jestem jednocześnie pełnią księżyca i południem słońca, a gwiazdy wirują wokół mnie jak brylantowe pierścienie. Czułam, jak otwiera się moje łono i pochłania Ziemię. Czułam, jak pulsuje we mnie życie w jednej chwili, która trwa w tysiącach istnień przez tysiące lat. Czułam, jak ci, którzy zawsze krążą wokół mnie jak włosy babiego lata, płoną teraz w ekstazie, która ich wyzwala, a ja jestem im płomieniem. Moje dłonie wzniecały wiatr, który ich wmiatał do złotego tunelu. Wskazywałam im drogę ku wielkiemu Słońcu. Powietrze było gęste od obecności i znaczeń.

Szmer rzeki i szum drzew zagłuszyły szczekanie psów.

×

Było już ciemno, kiedy się obudziłam. Zrzuciłam suknie, a moje ciało lśniło w świetle księżyca i ogniska, przy którym spali Johann i Magdalena. Naga zawołałam Magdalene. Przyszła, dotknęła mego policzka i piersi i okadziła mnie kiściami szalwii i piołunu. Weszłam do rzeki i położyłam się na plecach. Nurt uniósł mnie ze sobą.

Księżyc zasnął się perłowym dymem. Modliłam się, by na zawsze zatrzymał przy sobie moich zmarłych – dawnych i przyszłych – i by zesłał mi łaskę zapomnienia. Johann biegł brzegiem obok mnie, przedzierając się przez trzciny i krzaki. Wiedziałam, że nic na świecie nas nie rozłączy. Gdy wreszcie wyłowił mnie z wody, był odmieniony. Zasypał mnie piesszczotami, a później ubrał i zostawił na brzegu. Po jakimś czasie wrócił, lecz był już inny.

×

W tym samym czasie z drugiej strony rzeki nadchodził inny mężczyzna. Zgubił swoją kompanię i zszedł nad rzekę, by otrzeźwieć. Gdy zobaczył pływające ciało, pomyślał, że to jeden z topielców. Lecz gdy zobaczył moje piersi i uda, ciekawość przemogła wstręt. Wyciągnął mnie z wody gałęzią olchową i posiadał na brzegu. Powiedział później, że gdyby nie medalion-relikwiarz między moimi piersiami, oddałby mnie nyskiej inkwizycji, a jeszcze pewnie zastrzelił i wrzucił do rzeki, gdy już się mną nasycił. Gdy jednak usłyszał, jak wołam świętego Jana i świętą Marię Magdalene, wiedział, że wyłowił z topieli katoliczkę. Porzucił mnie, ale nie na długo. Pożądanie i zazdrość kazały mu wrócić. Za powrotem znalazł mnie jednak ubraną, w ramionach Johanna.

Mój półbrat rzucił się na niego z zębami i nożem, ale odwołałam go, gdy tamten zagroził nam strzelbą. Obaj zanieśli mnie do spalonej chaty, a stamtąd, przyslaną podwodą, mój przyszły mąż zawiózł mnie do mego domu, z którego nie wyszedł przez następne dwadzieścia lat.

×

Gdy Pan Tomasz dowiedział się, że niedoszła topielica jest dziedziczką nyskiego złotnika, sierotą pod niecierpliwą opieką Księcia Biskupa, nie czekał na zgodę swego ojca, kupca krakowskiego. Oświadczając się, mój konkurent zagroził, że jeśli nie zrozumie swego szczęścia, doniesie kurii biskupiej, że jestem czarownicą. Poza wszystkim nie byłam dziewicą, gdy mnie brał. Jest

więc pewny, że miłsze mi będzie jego łoże niż piec na czarownicy. W nagrodę za spolegliwość w tym łożu czekać mnie miały wszelkie rozkosze, których już zaznałam jako nimfa w ramionach Apolla. Oddałam więc Panu Tomaszowi mój posąg i ciało.

×

Pan Tomasz był bogaty, przystojny, wpływowy i zakochany w sobie. Jego próżność wydawała się nie mieć dna, jak studnia w Hranicach. Z początku wspomnienie naszego pierwszego spotkania podniecało go. Mawiał, że moja twarz nad rzeką wydała mu się jego własną. Wkrótce jednak obrzydził mnie sobie, mówiąc, że jego nimfa zamieniła się w to, czym zawsze była – w zimną rybę ze srebrnymi łuskami. Gdy się upijał, bił mnie i pytał, ilu było przed nim.

Byłam mu jednak uległą i cichą żoną. Nie dałam mu dzieci, ale godziłam się na kochanki. Dzięki temu pozwolił mi żyć i przeżyć go w spokoju.

×

Tuż po moim ślubie Magdalena i Johann zniknęli.

Rok później przejezdny kupiec, który zatrzymał się u nas w drodze z Ołomuńca do Wrocławia, wspomniawszy, że w lasach niedaleko Prerau żyje kobieta o czarnej twarzy. Mówił, że pojawiła się na zboczach tamtejszych wzgórz nie wiadomo skąd, że przyszła tam z młodym olbrzymem, który później zniknął, że krzyczy w nocy po lasach, że chodzą za nią zwierzęta i że pomaga tylko niewiastom, a mężczyźni topi w przepastnej studni, przy której mieszka. Mówił też, że starucha widzi śmierć, gdy ta nadchodzi.

Gdy to opowiadał, poczułam ostry zapach wilgotnych mchów, kory i zwierzęcych odchodów. Zobaczyłam, jak lekka bryza delikatnie unosi warstwy butwiejących liści niczym kartki modlitewnika. Usłyszałam, jak pod tym grubym kilimem umarłych roślin kielkuje bukiew. Na koniec poczułam ciepły, miodowy zapach Magdaleny i smak cierpkich jagód jałowca. Wiedziałam, że jest spokojna i bezpieczna. Wiedziałam, że czuje, iż przy niej jestem. Poczułam jej dotyk na moim policzku.

Wiedziałam już, że kiedy ją przywołam, wróci do mnie.

×

Gdy Pan Tomasz umierał, pobity przez najemników, siedziałam przy jego łóżku i na resztkach szafranowego płótna wyszywałam obrus do mojej kaplicy. Haftowałam go nitkami wyciągniętymi ze strzępów jedwabnych sukien, porozrywanych przez żołnierzy. Pan Tomasz pojękiwał na brudnych poduszkach. W powietrzu czuć było wilgoć, pleśń, mocz, pot i coś jeszcze – coś słodkiego i gorzkiego zarazem. Ten zapach czaił się przy łóżku, gęstniał, nabierając szarozółtego koloru, a później rzedł i rozplywał się w powietrzu jak kłęb mroku. Ten cień przerażał Pana Tomasza bardziej niż własna śmierć.

Zastanawiałam się, czy być może ten zapach był jednym z atrybutów saletry z traktatu Pana Michała. Być może Pan Tomasz, tak jak wszystkie inne żyjące istoty, wdychał element życia z powietrza, a wydychał wapór spalenizny, bo w istocie każdy człowiek jest jak wilgotny piec. Zastanawiałam się, czy to być może przestrzeń otwiera się ku wieczności, by przyjąć w swe ramiona Pana Tomasza, dać mu ostatni oddech i przyjąć ostatni wapór ze stygnącego ciała.

Wstałam z krzesła i podeszłam do okna. Otworzyłam je na oścież. Uderzył mnie zapach świeżo skoszonej trawy znad łągów nad Nysą. Zamknęłam oczy i wdychałam rześwe powietrze wieczorne, aż zakręciło mi się w głowie. Pomyślałam, że ten zapach trwa wiecznie, jak deszcz. Nad horyzontem pobłyskiwała gwiazda wieczorna, jak wystrzelony w niebo diament.

Pan Tomasz zaczął pojękiwać i skarżyć się, że chce go dobić wpuszczając miazmaty, które go duszą. Zapytał, czy nie idzie do niego ktoś z Bractwa Dobrej Śmierci z garnuszką kwaśnego mleka. Powiedziałam, że nikt nie idzie, a mleka i tak nie może pić, bo przecież zaraz je z siebie wyrzuca. Wymamrotał jakąś obelgę. Położyłam mu na piersi mały krucyfiks. Uspokoił się.

Podeszłam do ściany i schyliłam się. Ze szczyrzej dziury wyciągnęłam moje srebrne puzderko. Wyciągnęłam z niego włosy i starannie, jeden po drugim, wyhaftowałam nimi kwiaty, które ojciec kazał mi kiedyś przerysować ze starego manuskryptu. Zapamiętałam te rośliny, bo nie były podobne ani do tych z łąk, ani do tych z ojcowskich zamorskich herbariów.

Jeden z kwiatów wyglądał jak wirujący krąg białych i modrych płatków osadzony na purpurowej konsze, która płonęła zielonymi językami. Przypominał otwarty medalion Magdaleny. Inny wyglądał jak karmazynowa rozeta, a jeszcze inny jak błękitna, pierzasta gwiazda. Haftowałam z pamięci. Otoczyłam je liśćmi nieznanymi mi szczepów drzew i powojów. W miarę pracy powracała do mnie pamięć kształtów i kolorów.

Uśmiechałam się do siebie.

×

Przypomniałam sobie, jak przyjechał do nas Pan Jiří Bareš z Pragi, przyjaciel ojca z młodości. Kochali się jak bracia. Pan Jiří był u nas rzadkim gościem, ale ile razy wchodził do naszego domu, przynosił ze sobą szczęście letniego poranka. Tamtego razu przywiózł mi w podarku kota, Johannowi złotniczy młotek i kowadelko, a Magdalenie paciorki z granatów. Pan Jiří zabawił u nas tylko trzy dni, bo był w drodze do Krakowa, do Pana Michała Sędziwoja, wspólnego ich przyjaciela z praskich czasów. Przez te trzy dni widywaliśmy ojca i Pana Jiříego tylko w porze posiłków, bo rozmawiali ze sobą bez przerwy, w pracowni ojca, obaj bardzo podnieceni. Magdalena zabroniła nam podsłuchiwać, grożąc, że odda kota biskupim psom, a młotek i kowadło przetopi w ojcowskiej retorcie, zaleje okowitą i odda franciszkanom.

Ale wieczorem sama poszła do pracowni ojca, niosąc pod pachami garnce spienionego piwa i radosny uśmiech na twarzy. Johann i ja zakradliśmy się pod drzwi i nasłuchiwaliliśmy rozochoconych śmiechów i nieskromnych żartów. Pod koniec biesiady Pan Jiří wyciągnął swoją lutnię i zaśpiewał pieśń, którą przyjaciel z ich praskiej kompanii, Pan Jan Di, przywiózł z dalekiej Anglii. Zapamiętałam słowa, bo były proste, a ojciec od dawna uczył mnie obcych języków: *Alas my love you do me wrong / To cast me off discourteously / And I have loved you oh so long / Delight in your company / Greensleaves was my delight / Greensleaves my heart of gold / Greensleaves was my heart of joy / And who but my lady Greensleaves*. Po ostatnim dźwięku strun wszyscy zamilkli. Moje serce ścisnęły ogromny żal i ogromna radość, które przeszły moje ciało jak zimny sztylet. Przysunęłam się bliżej do Johanna, który objął mnie obiema rękoma i ukolysał. Z komnaty doszły nas stłumione słowa ojca: *Sine amore, nihil est vita...* Pan Jiří powtórzył je jak echo. Gdy Magdalena zaczęła szykować posłanie dla siebie i ojca, a nasz śpiewak zaczął zbierać się na spoczynek, uciekliśmy z Johannem do jego komory i wtuliwszy się w siebie jak koty, zasnęliśmy snem mrocznym i głębokim.

×

Po wyjeździe przyjaciela ojciec zawołał mnie do pracowni. Patrzył na mnie długo i w skupieniu. Na koniec powiedział mi, że jestem już prawie dorosła i że ufa mi najbardziej na świecie. Zapytał, czy się nie myli. Powiedziałam, że kocham go nad życie i że może mi ufać bez wahania. Wówczas ojciec podszedł do stołu i zdjął warstwę papierów z czegoś, co było księgą. Nie był to jednak jeden z tych starożytnych manuskryptów klasztornych, które widywałam w jego pracowni. Ojciec poprosił, bym podeszła bliżej. Otworzył niepozorną drewnianą oprawę i zachęcił mnie, bym spojrzała do środka.

Na otwartej stronie ujrzałam rysunek dziwnej rośliny. Pytając spojrzałam na ojca, a gdy odpowiedział skinieniem głowy, dotknęłam kartek. Zawsze lubiłam dotykać pergaminu, zanurzać palce w tej delikatnej miękkości, choć jednocześnie słyszałam ryk zarzynanych cieląt. Staralam się ukryć przed ojcem wstydlive uczucie rozkoszy, ale patrzył na mnie badawczo. Odwróciłam kartę. Zobaczyłam inną nieznaną roślinę. W pierwszej chwili pomyślałam, że to herbarium, więc zaczęłam czytać, ale pismo na karcie nie było ani

łacina, ani greką, ani niemieckim, ani francuskim, ani włoskim, ani angielskim. Nie było też hebrajskim, rozpoznałabym je, ojciec bowiem miał książki także w tym języku. Nigdy wcześniej nie widziałam takiego pisma. Spojrzałam na ojca pytająco. Odpowiedział, że to język enochowy. W milczeniu przewracałam kartki, coraz mniej rozumiejąc, na co patrzę. Herbarium zamieniło się w manuskrypt iluminowany obrazami sfer niebieskich i nagich kobiet kąpiących się w zielonych kanałach i stawach płynących w dół kart manuskryptu. Nagość tych kobiet była tak jawna, że odruchowo odsunęłam od siebie księgę. Ojciec powiedział wówczas cicho, że to córki Ewy tak samo, jak wszyscy ludzie na ziemi, i że w tej księdze są one w stanie niewinności, więc patrzeć na nie nie jest grzechem. *Matki, powiedział, też są córkami, tak jak córki matkami, a te niewiasty to symbol wody, tak jak języki ognia są symbolem Ducha Świętego.*

Ojciec zapytał mnie, czy zdołam przez dziesięć dni skopiować dla niego niektóre z tych rysunków, włączając sfery niebieskie, ziola i panny wodne. Odpowiedziałam, że tak, choć brak mi wprawy w iluminacji. Ojciec odpowiedział, że potrzebny mi będzie tylko zielony atrament, który on przygotowuje; że potrzebuje tylko mojej ręki do rysunku, a resztę zrobi sam. Tak też się stało. Pracowałam z ojcem przez dziesięć dni, od wschodu do zachodu słońca i długo w noc, przy świecach. Każdą ukończoną kartę oddawałam ojcu, a on na drugim stole kopiował pismo.

Po dwóch tygodniach przyjechał do nas Pan Michał, ogromny i wzbudzony, i powiedział, że planuje wyjazd, tym razem do Włoch i być może na zawsze. Był zniechęcony służbą na dworze krakowskim i oplakiwał cesarza Rudolfa. Pili wraz z ojcem dużo tamtej nocy. Gdy wyszli na dwór, by ulżyć pęcherzom, usłyszałam, jak zaśmiewali się, wspominając przygody młodości. Nazajutrz Pan Michał wymknął się niepostrzeżenie z naszego domu. Wraz z nim zniknął manuskrypt, a na stole ojca pojawiły się worki nieoszlifowanych kamieni i żółtego metalu.

Skopiowanych kart nigdy więcej nie widziałam, a Pana Jiřego tylko raz, gdy zatrzymał się u mnie w drodze do Krawarzów, do umierającego Pana Michała. Dał mi wówczas kordial na bezsenność i powiedział, że największą cnotą jest zaufanie własnej niewiedzy. Powiedział mi także, że najbardziej bać się trzeba własnego strachu i że to, co widzimy i czego doświadczamy, jest tak pozorne jak sen, w którym spędzamy połowę życia.

I powiedział mi także, że muszę czuwać nad wodą z chrzcielnicy u św. Jakuba, bo tylko w ten sposób spełnię moje powołanie, jeśli bowiem chcę wiedzieć, dokąd płynie rzeka, muszę najpierw odnaleźć jej źródła. Pocałował mnie w czoło i zostawił mi legat swój i pana Michała. Wszyscy trzej przyjaciele mają swój udział w mojej kaplicy.

×

Wyciągnęłam zza dekoltu mój relikwiarz, ucałowałam go, otworzyłam i wyciągnęłam ząb, który znalazłam ongiś w spalonym domu rybaka. Killkoma ruchami igły zamknęłam go w purpurowej konsze ostu, otoczonej wieńcem liści szaławii i piołunu. Kawalek lnu z mojej spódnicy powoli zamieniał się w słoneczną łąkę. Czułam spokój. Czułam, jak czas zawisł na pętelce mojej nitki.

Pan Tomasz patrzył na mnie szklanym wzrokiem. Oddychał ciężko i chrapliwie. Na koniec zapytał, dlaczego moje oczy są zawsze puste i nieobecne. Milczałam. Zapytał, kim był ten pierwszy. Odpowiedziałam, wyskubując nitki ze strzępka zielonego jedwabiu obszytego złotą lamówką, że był najemnikiem Księcia Hohenzollerna. Zapytał, ile miałam lat. Odpowiedziałam, że piętnaście. Zapytał, co się z nim stało. Odpowiedziałam, że Johann go zabił. Ojciec wykupił Johanna z więzienia, ale nie od tortur, które mu tam zadano. Kiedy doszedł do siebie, Johann zaciągnął się do wojska króla Ferdynanda i poszedł prosto pod Białą Górę. Następne sześć lat spędził w Czechach, polując na protestantów. Powrócił półumarłym starcem, choć miał tylko 22 lata.

Koszula Pana Tomasza przesiąkła od potu. Zapytałam go, czy wie, ile razy spędzał płód. Odpowiedział, że dwa razy. Odpowiedziałam, że trzy. I że pierwszy pochodził od niego.

Zamknął oczy i o nic już więcej nie zapytał.

×

Gdy wpadła na dziedziniec naszej kamienicy, pomyślałam, że gonią szaloną lochę. Na podwórku zakipiało od hałasu, lecz z początku widziałam tylko mężczyzn uzbrojonych w pałki, widły, halabardy i rusznice. Ich twarze były czerwone, brudne, podniecone pościgiem, polowaniem i czymś jeszcze, czego w pierwszej chwili nie rozpoznałam, czymś plugawym i odrażającym. Mężczyźni rechotali, pokrzykiwali na siebie, próbując zagnać w róg podwórza swoją zdobycz.

Zawołałam Pana Tomasza, by wyszedł na podwórze sprawdzić, co uczyniło taki rejwach. Dopiero gdy spostrzegłam, że Pan Tomasz utknął na progu jak skamieniały i cała krew uciekła z jego twarzy, powiodłam wzrokiem za jego wzrokiem i zobaczyłam ją.

Ofka przypominała bardziej zwierzę niż człowieka. Odkryta głowa pokryta strupami i placami świeżej, niezakrzepłej jeszcze krwi, z rzadkimi kępami długich, kiedyś tak pięknych włosów. To po tych włosach ją rozpoznał, bo choć brudne i pozlepiane, zachowały swój złoty kolor. Twarz Ofki budziła litość i przerażenie. Odcięty nos, z którego płynął zielono-niebieski śluz. Odcięte ucho. Obcięta dolna warga, bez której widać było, że powybijano Ofce wszystkie zęby. Błękitne oko, oszalałe z przerażenia, podbite czarnym siniakiem. Drugi oczodół był tak spuchnięty, że nie potrafiłam dostrzec, czy jest tam nadal oko, czy je wydarto. Powykręcane, nagie ramiona. Ofka podskakiwała, próbując podpiąć się rękoma i kolanami, bo nie mogła chodzić na spalonych stopach. Gdy utknęła w rogu pomiędzy chlewikiem a murem otaczającym dziedziniec, próbowała wyprostować plecy i bronić się powykręcanymi rękoma, jak niedźwiedzica szczuta przez charty. Zobaczyłam wówczas, że piersi ma wypalone i że stoi na szeroko rozstawionych nogach, po których spływają kał i krew. Z jej gardła wyrwał się rozdzierający ryk. Gdy ją wreszcie pojмали, przyciągnęli ją pod próg do Pana Tomasza. Najęci przez inkwizycję pacholkiwie przeproszali, że naruszyli spokój domostwa tak czciwego mieszczanina, lecz ta oto czarownica zdołała ześliznąć się z wozu, a wiozła ją do pieca na czarownice z nową gromadą tego szatańskiego pomiotu na dzisiejszą egzekucję. Pan Tomasz przecież wie, jest wszak oczekiwanym gościem, jeśli tylko zechce wziąć udział w ceremonii oczyszczenia miasta.

Gdy pacholki miejskie zajęte były tłumaczeniem się z pogwałcenia spokoju domostwa zamożnego kupca i pochlebstwami, licząc na datek bardziej niż na skargę do sekretarza Księcia Biskupa, Ofka zdołała wywinąć im się z rąk. Przyczółgała się do nóg Pana Tomasza i z całych sił objęła jego buty, wtulając w nie twarz. Pan Tomasz, przerażony, wspomagany przez pacholków, próbował strząsnąć Ofkę z nóg. Gdy wreszcie to uczynił, skopał ją z całej siły z progu, skłął pacholków, zatrzasnął drzwi, a wkrótce potem wyszedł do karczmy świętować oczyszczenie miasta w towarzystwie innych rajców miejskich.

Pan Tomasz powtarzał, zgodnie z naukami księży jezuitów, że wojny, powietrze morowe i głód to Jeźdźcy Apokalipsy, trzeba zatem oczyszczać sumienia z grzechów. Proces oczyszczenia należy zaś zacząć od wyszukania, osądzenia, napiętnowania i wygnania tych, którzy otwarcie spiskują z Szatanem – heretyków, niewiernych, sodomitów i czarownice – grzeszących przeciw Duchowi Świętemu. Tylko bowiem wówczas, gdy we wspólnocie wiernych wypali się siedlisko choroby lub odetnie chore członki, może w niej zamieszkać Duch Święty i przygotować najwierniejszych z wiernych na Sąd Ostateczny. W ostatnich latach Pan Tomasz oddał ogromne sumy do dyspozycji Księcia Biskupa, bał się bowiem, że może nie dostąpić zbawienia. Dziś będzie pił za pieniądze kata, któremu zapłaci 4 talary w srebrze za egzekucję jednej czarownicy.

Ofka dostrzegła mnie w oknie, gdy pachol złapał ją za resztkę włosów i odciągnął jej głowę w tył, próbując poddusić. Przez moment patrzyła na mnie swoim jedynym okiem, w którym zobaczyłam rozpacz głębszą niż studnia w Hranicach. Odpowiedziałam jej spojrzeniem, że nie czuję do niej nienawiści. Nie czułam jej wówczas, gdy lżyła mnie w plotkach, gdy okazywała mi pogardę, nawet wówczas, gdy obnosiła się po mieście w klejnotach po mojej matce. Nie czułam do niej nienawiści, bo nie kochałam mojego męża. Ofka była mi obojętna. Teraz jednak czułam dla niej współczucie, kochała bowiem Pana Tomasza miłością namiętną i szaloną. Kochała tchórza, który ją uwiódł, lecz nie chciał jej ochronić przed gniewem rodziny. Sądziła ją za to, że trzyma diabła w pasku od gorsetu, co poświadczył jej kuzyn, który będzie po niej dziedziczyć.

Posłałam jej znak pokoju, wiedziałam bowiem, że po zachodzie słońca jej prochy wsypią do Nysy. Wiedziałam bowiem, że prochy Ofki i szesnastu innych kobiety zamienią się dzisiaj w Nysie w żyzny muł. Wiedziałam bowiem, że ogień odejmie jej ból, a woda da jej ukojenie i odpuszczenie. I obiecałam jej, że dziś wieczorem otworzę jej drzwi do mojego domu.

Gdy więc dostrzegłam z okna lunę znad pieca na czarownicy, otworzyłam na oścież okno sypialni Pana Tomasza. Natarłam ręce szalwią, po czym rozwarłam wszystkie drzwi do komód i podniosłam wieka kufrów. Otworzyłam wszystkie pudzermany, flaszki i szuflady. Zdjęłam nawet wieczko z kałamarza. Stałam w oknie i niemym szeptem zawałam Ofkę do sypialni jej kochanka. Poczulałam zapach spalenizny przepleciony włóknami pieczonego mięsa, który wypełnił wszystkie zakamarki komnaty.

Na ramę okna wskoczył szary konik polny. Wzięłam go na dłoń i opowiedziałam mu, jak mordowane pogańskie kapłanki rzuciły klątwę na kapłanki nowego Boga, które zamieszkają na tym miejscu. Jak męczone i palone siostry beginki rzuciły klątwę na miejskie niewiasty, świeckie i zakonne, które szczuły nienawiścią i przyglądały się obojętnie lub w strachu ich kaźni. Jak – teraz – mordowane kobiety oskarżane o konszachty z diabłem rzucają klątwę na zakonnice i niewiasty świeckie, które biernie przyglądają się ich niedoli lub oskarżają je fałszywie przed Inkwizycją. Jak za lat sto lub trzysta obce wojska będą mordować zakonnice i zwykle mieszczyki, i jak te...

Przed powrotem Pana Tomasza z karczmy pozamykałam wszystko na powrót. A Ofce powiedziałam, że dopóki żyję, będzie tu bezpieczna.

×

Zawałam Magdalenę tylko raz, w noc śmierci Pana Tomasza. Gdy weszła do izby, nic nie powiedziała, a ja o nic nie pytałam. Pomogła mi umyć i ubrać zmarłego. Białe ciało Pana Tomasza lśniło w blasku księżyca. Magdalena zawiązała mu ręce na piersiach srebrnym różańcem i kazała mi wyjść po wodę. Gdy wróciłam, zobaczyłam plamę krwi na koszuli. Magdalena włożyła do ust i kieszeni Pana Tomasza porowate grudki złota. Powiedziała, że Pan Tomasz nie wróci do mnie, jeśli dam mu to, czego najbardziej ode mnie chciał.

Ucałowałam jej ręce, a ona pocałowała mnie w czoło. Spojrzała mi głęboko i ciepło w oczy i powiedziała: *Bez lásky není života*. I odeszła.

Przychodziła do mnie później wiele razy, lekką bryzą. Poznawałam ją po zapachach. Aż pewnego razu, gdy prałam podkłady, poczułam ten jeden, wyjątkowy zapach i zrozumiałam, że Magdalena właśnie przeszła na drugą stronę.

Nadal jednak słyszę jej głos i wiem, że strzeże mnie tak, jak ja strzegę jej spokoju.

×

Johann przyszedł do mnie pewnego południa, gdy byłam w ogrodzie. Jego ręce, stopy i twarz pokryte były czarnymi plamami i wrzodami. Podałam mu wodę. Wypił ją łapczywie. Stał napięty jak struna i patrzył na mnie wielkimi,

pustymi, szarymi oczyma. Podalam mu woreczek soli, w którym zanurzył szerniały język.

Johann ujął moje dłonie, otworzył je i wygładził jak liście łopianu. Sięgnął do kieszeni podartego kaftana. Z jednej wyjął kilka ziaren pszenicy, z drugiej jagody jałowca. Wsywał jałowiec do mojej prawej dłoni, a pszenicę do lewej. Zamknął je, ucałował i odszedł.

Poszłam w ślad za nim. Zaprowadził mnie za mury miasta, na cmentarz zadżumionych. Stał pośród kopców szarej i brązowej ziemi. Wskazał mi krzaki jałowca. Gdy odwróciłam się do niego, zniknął.

×

Johann urodził się w noc Bożego Narodzenia, pół roku przede mną. Ja urodziłam się w noc świętojańską. Ojciec mówił, że jesteśmy bliźniętami, które żyją obok siebie i w sobie, a jednak nigdy się nie spotkają.

Tuż po urodzeniu Johanna ojciec podkuł go znakiem krzyża na podszwach stóp. W noc jego czternastych urodzin ojciec zawołał syna do swojej pracowni. Poszliśmy tam oboje. Ojciec kazał Johannowi usiąść na zydlu i zadrzeć koszulę na głowę. Johann uczynił to niechętnie i lękliwie. Ojciec przyciągnął do niego swoje krzesło i rozsiadł się wygodnie, rostawiając szeroko nogi i podkaszując fałdy kaftana. Usiadłam ojcu na kolanie i oparłam głowę o jego ramię. Ojciec otworzył kryształową ampulkę, która stała na stole, włożył mi do ust koniuszek pióra koguta, po czym umaczał je w wodzie i zaczął starannie wypisywać na plecach Johanna, poniżej karku, słowa, które zapamiętałam do dziś: *sed et si ambulavero in valle mortis non timebo malum quoniam tu mecum es virga tua et baculus tuus ipsa consolabuntur me*.

Johann siedział na zydlu i drżał pod każdym muśnięciem piórka. Nie widział tego, co ojciec i ja. Przejrzysta woda ze studni w Hranicach, która była w ampulce, zostawiała na skórze Johanna jasnozielony ślad. Ojciec był mistrzem kaligrafii. Jego sentencja lśniła nam w oczach. Po każdym słowie spoglądaliśmy na siebie z zachwytem i przekornym uśmieszkiem, że Johann nie wie, co się dzieje z tyłu jego głowy. Gdy ojciec zwinnym machnięciem pióra postawił ostatnią literę, Johann zniecierpliwiony zapytał, czy pismo już skończone. Ojciec odrzekł, że właśnie przystawił pieczęć i Johann jest już wolnym człowiekiem.

Gdy za Johannem zamknęły się drzwi, ojciec jakby postarzał się o dwadzieścia lat. Powiedział mi, że nic więcej nie może zrobić dla syna, że to, co właśnie zrobił, ocali mu życie, ale nie ocali go od życia. Prosił, bym nigdy nie zapomniała o Johannie. Przyrzekłam, bo czyż mogłabym wyrzec się samej siebie?

Wkrótce po tym, jak w mieście pojawiło się wojsko Księcia Hohenzollerna, Johann zabił najemnika, który mnie zgwałcił.

×

Przychodziłam pod pustelnię świętego Rocha z psami, nawet wtedy, gdy były już siwe i ślepe. Siadałam pod oknem, opierałam się plecami o spleśniałą ścianę, wyciągałam mój haft albo książkę i spędzałam tam godzinę lub dwie. Przez kraty podawałam pustelnikowi chleb, piwo, czasem piernik, a latem kosztele i gruszki. Czasem podawałam mu też obcięty kosmyk moich włosów. Przez otwarte okienko czułam jego zapach, słyszałam jego oddech, czułam się bezpieczna i spokojna.

Osadzono Johanna w tej pustelni po tym, jak wywiódł z miasta zapowietrzonych. Gdy nie pomagały ani modły, ani interwencje medyków, księża bożogrobcy przekonali Księcia Biskupa, że tylko wyprowadzenie chorych z miasta może pomóc. Na miejsce wyjścia wyznaczono cmentarną kaplicę świętego Rocha. Przez kilka dni pachółkowie miejscy wyszukiwali i wywlekali chorych z domów i skrytek, gromadząc ich pod strażą w pustym spichlerzu miejskim. Wielu z nich umarło w oczekiwaniu wyjścia.

W południe oznaczonego dnia Johann, sam chory, lecz wystarczająco silny, by poprowadzić pochód, nakazał chorym ustawić się trójkami, chwycić

ramion tych, którzy postępowali przed nimi, i podtrzymywali tych, którzy nie mogli iść. Jedni płakali albo przeklinali swoich prześladowców. Inni modlili się o uzdrowienie i łaskę życia dla swoich bliskich. Omdlałych wrzucano na wozy, które jechały za korowodem i zbierały ciała. Służba cmentarna nadzorowała już chłopów, którzy kopali zbiorowe mogiły.

Gdy ten korowód umierających mężczyzn i kobiet, starców i dzieci wyruszył z miasta, miał w awangardzie księży bożogrobców, a w ariergardzie braci z Bractwa Dobrej Śmierci. Ludzie płakali, widząc tę ludzką nędzę. Psy wyły i uciekały od smrodu i z przerażenia. Wszystkie dzwony w mieście były donośnie. Wszyscy duchowni odprawiali egzekwie za zmarłych, wznosili modły za umierających i błagania w intencji żywych. Wszystkie zakonnice leżały krzyżem w swoich świątyniach. Księża bożogrobcy i bracia Dobrej Śmierci odmawiali Dies Irae i De Profundis. Krewni biegli obok kolumny zapowietrzonych, która posuwała się niezwykle wolno. Przebijali się przez tłumy gapiów, którzy szli także, rozochoceni widowiskiem, zagryzając piwo obwarzankami i wędzonymi świńskimi uszami, sprzedawanymi przez przekupki na ulicy. Co kilka kroków ktoś padał. Wielu starało się utrzymać padających w marszu, by nie oddać ich pachołkom grabarskim. Wielu deptało upadających bez jednego spojrzenia w ich stronę.

Korowód dotarł na cmentarz w nieszpory. Dwudziestu sześciu zapowietrzonych znalazło się na wozie grabarzy. Lokalny medyk każdemu z nich przystawił lusterko do ust, po czym stwierdzał zgon. Zakonnik odmawiał modlitwę za umarłych. Rodzin nie dopuszczano, a zmarłych oddawano najętym grabarzom. Ci chwyтали ich za ręce i nogi i wrzucali do wspólnego grobu. Wszędzie słychać było zawodzenia.

Szłam obok Johanna cały ten czas. Prowadził swój pochód w milczeniu, jak dzielny wódz w marszu przeciw mocom piekielnym. Gdy pochód dotarł do kaplicy, Johann ukląkł i odmówił modlitwę dziękczynną. Tych, którzy nie zmarli, rodziny zabrały do domu. Po pielgrzymce do świętego Rocha wszyscy chorzy ozdrowieli, a zaraza opuściła miasto.

Johann znalazł swój dom.

×

Kiedys powiedziałam Johannowi mój sen o rozbitej świątyni.

Doprowadził mnie do jej serca omszały, zatkany pajęczynami korytarz. Przeszronna hala kościoła spowita była w ciemnozielony mrok. Czułam niepokój. Wodząc ręką po ścianie, szukałam wyjścia. Jednak zamiast drzwi znalazłam tylko ostry załom ściany, który poprowadził mnie w zupełnie innym kierunku niż ten, w którym zmierzałam. Wkrótce doszłam do następnego załomu ściany, który znowu poprowadził mnie w przeciwną stronę. Gdy trafiłam na następny ostry kąt, zrozumiałam, że krążę po świątyni zbudowanej na planie gwiazdy o pięciu ramionach.

Roztarłam w dłoni kurz i przędzę pajęczą i wytarłam ją o spódnicę. Odwróciłam się ku wnętrzu hali. W zielonkawej poświacie zobaczyłam złogi gruzu, potłuczonego szkła i strzaskanego drewna. W połamanych i rozbitych ławach, niegdyś malowanych na brązowo, snuły się cienie. Podeszłam do jednej z nich i wsparłam o nią ręką. Gdy podniosłam głowę, spostrzegłam, że świątynia nie ma sklepienia. Niebo nad świątynią miało kolor złota i letniej łąki.

Poczułam wielki spokój. Wówczas ze złotozielonej poświaty spłynęło na posadzkę kilka srebrzystych smug. Drobinki pyłu tańczyły w promieniach światła. Wyciągnęłam ku nim dłoń, lecz one odskoczyły od niej w różnych kierunkach, w ekstatycznym drzeniu. Nieuchwytnie, samoistne, niezmiennie, w miriadach stale zmieniających się konstelacji.

Zrozumiałam wówczas, że jeśli jesteśmy tylko prochem, jesteśmy także światłem.

Johann odpowiedział mi: *Twoja woda na pustynię mojej duszy.*

I dodał: *Zbuduj dla nich dom, by mieli gdzie odejść.*

×

Zbudowałam więc moim umarłym ten alkierz u świętego Jakuba, ale nie chcę tu zostać. Nadal wloką się za mną jak głodne psy.

Czasem zostaję dłużej w kościele i kiedy wszyscy wyjdą, kładę się krzyżem na posadzkę. Proboszcz myśli, że odprawiam pokutę, ale ja tylko próbuję zasnąć. Kiedyś zasnęłam na kamiennej płycie i zobaczyłam, jak anioł rozkuwa mi czaszkę i sypie w nią brązowy pył.

I przyśniło mi się, że Matka Boska zanurza różaniec w kotle czyszcowym, a moi zmarli wyciągają ręce, nogi i szczęki, rozpaczliwie próbując wczepić się w jego paciorki. Wielu ześlizguje się w płonący olej, bo jeszcze nie ich czas, ale kilkoro wczepia się w ogniwa łańcucha i wznosi do góry.

Później zobaczyłam, jak Matka Boska strąca dusze czyścicowce z różańca na niebiańskie łąki, a one pasą się tam jak owce i beczą radośnie, bo już nie muszą się bać hord wilków, psów i głodnych ludzi. Ich połamane członki zrastają się, rany zablizniają, ciała porastają wełną, osłaniają wrzody wstydu i bólu, oczy zastygają w braku zdumienia i oczekiwania. Przeżywając niebiańskie zioła, zapominają na śmierć. Na koniec stają w bezruchu, lecz ich ciała nie tężeją. Zaczynają wydzielać woń lilii, hiacyntów, konwalii i jaśminu.

Ponieważ nie dowierzyłam życiu wiecznemu, obwąchałam ich ukradkiem. W oczach zakręciły mi się lzy, nie od zapachu zgnilizny jednak, ale z radości. Zapomniałam, jak się płacze. Obudził mnie ból pod powiekami i uczucie, że moje oczy to dwie puste studnie, które otwarły się, by dojrzeć tych, co spod posadzki pną się ku zmartwychwstaniu po łańcuchu różańca, takim samym, jakim pęta się bydło i ludzi.

×

Czasem zostaję dłużej w kościele i kiedy wszyscy wyjdą, kładę się krzyżem na posadzkę. Próbuję zasnąć.

Wiem, że są tam głęboko. Wiem, że przeniknęli do podziemnych wodnych żył, które płyną pod katedrą i pod miastem. Widzę ich palce w zmurszałych korzeniach traw. Widzę ich oczy w szarych kamieniach, których nie wyorze już żaden pług. Słyszę ich szepty w wijących się ciałach robactwa, ocierających się o ziarnka piasku. Wołają mnie nieustannie.

Wołają mnie pradawnym moim imieniem. Wołają mnie w języku, który nadal pamiętam i rozumiem, lecz nie potrafię go powtórzyć. Skarżą się żałośnie, że ich żywcem pogrzebano pod fundamentem Nowej Świątyni. Ich głosy wiją się w szeleszczących puklach w labiryncie korytarzy, drążonych przez ślepych mieszkańców podziemnej krainy. Ich jęki i zawodzenia wplatają się w szmery podziemnej rzeki. To z niej czerpie wodę studnia, której oko zatknęto głazem, gdy budowano świątynię. To na tym kamieniu wspiera się płyta posadzki, na której składam głowę we wianku z kaczęńców na rańtuchu, gdy kładę się krzyżem w mojej kaplicy.

Nasłuchuję zakłęk pogrzebanych i wyśpiewuję je szeptem, i rzucam je na wiatr, by uniósł je nad Nysę i spłynął w nią deszczem kropel, i użył jej dziedziny modlitwą przeklętych. Zakłękciem, które sprowadza łaskę spokoju i odrodzenia.

×

Nazywam się Anna Gritzner.
Jestem stróżką umierających,
którzy płyną przez moje ciało.
Otwieram im wrota z ziemi do nieba
i błagam ich,
by odeszli
ku światłu.